

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nr. 1



Lublin, 3 września 1944 r.

BIBLIOTEKA
WYDZIAŁ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W ODAŃSKU

Rok I

CIW-9025

WT iur 22/53

C-III 1186

Pięć lat temu Hitler napadł na Polskę. Od pięciu lat naród polski cierpi straszliwą niewolę niemiecką. Ogromne, niepowetowane są straty, jakie poniosła w tym czasie polska nauka, literatura i sztuka.

Dziś, na wyzwolonych już ziemiach Polski, składamy hołd pamięci tych uczonych, pisarzy i artystów, którzy zostali zamęczeni lub rozstrzelani w katowniach hitlerowskich, którzy zmarli wskutek prześladowań niemieckiej policji lub padli w walce z faszystowskim wrogiem. Na wolnej już ziemi polskiej odradzać się zaczyna polska kultura, literatura i sztuka — nowa i wolna.

Nie jest to pełna lista strat. Każdy dzień będzie przynosił nowe nazwiska. Ale każda strata jest zobowiązaniem do dalszej, ostatecznej już walki. Warszawa, Kraków, Katowice, Poznań — jeszcze czekają, cierpią i walczą.

Zamordowani przez Niemców oraz polskich i ukraińskich hitlerowców:

uczni i profesorowie wyższych uczelni:

Maurycy Allerhand, Kazimierz Bartel, Józef Birkenmajer, Ignacy Chrzancowski, Zygmunt Cybichowski, Antoni Dobrzaniecki, Jan Grek, Mieczysław Gutkowski, Marcei Handelsman, Adam Heydel, Henryk Hilarowicz, Bolesław Jałowy, Kazimierz Kolbuszewski, Roman Longchamps de Berier, Antoni Łomnicki, Czesław Martyniak, ks. Michał Niechaj, Kazimierz Pelczar, Roman Pilat, Wiktor Ormicki, Roman Rencki, Władysław Semkowicz, Jerzy Smoleński, Józef Tretiak, Kasper Weigl, ks. Stanisław Wojsa, Henryk Życzyński

pisarze i poeci:

Walentyna Aleksandrowicz, Emil Breiter, Tadeusz Boy-Żeleński, Aleksander Dan, Henryk Dembiński, Stefan Essmanowski, Leonid Foksański, Ludwik Fryde, Halina Górka, Tadeusz Hollender, Jerzy Hulewicz, Witold Hulewicz, Janusz Korczak, Halina Krahelska, Gustaw Morcinek, Roman Niewiarowicz, Bolesław Piach, Stanisław Piasecki, Leon Pomirowski, Ludwik Puget, Ostap Ortwin, Stanisław Rogowski, Bruno Schulz, Antonina Sokolicz, Edward Szymański, Juljusz Wit

muzycy:

Marek Bauer, Artur Hermelin, Mieczysław Kochanowski, Edward Steinberger

artyści teatru i opery:

Karol Benda, Irena Borowska, Tadeusz Frenkiel, Bronisława Koyałowicz, Romana Pawłowska, Jerzy Roland, Karol Wyrwicz-Wichrowski, Mieczysław Węgrzyn, Witold Zacharewicz, Michał Znicz

malarze:

Franciszek Bartoszek, Zygmunt Bobowski, Otto Hahn, Roman Kramsztyk, Tadeusz Pruszkowski

Zginęli w działaniach wojennych:

pisarze i poeci:

Zofja Charszewska, Józef Czechowicz, Tadeusz Dołęga-Mostowicz, Franciszek Parecki, Czesław Straszewicz

artyści teatru i opery:

Stefan Hnydziński, Halina Szmolcówna

Zmarli:

pisarze i poeci:

Wacław Berent, Edward Boye, Mieczysław Braun, Światopełk Karpiński, Stefan Kiedrzyński, Kazimierz Leczycki, Jan Lorentowicz, Bolesław Mićński, Adolf Nowaczyński, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Antoni Sobański, Stefanja Sempolowska, J. K. Weintraub, St. J. Witkiewicz, Aniela Zagórska, Emil Zegadłowicz, Henryk Zbierzchowski

artyści teatru i opery:

Józef Chmieliński, Ludwik Fritsche, Józef Krzewiński, Leszek Pościelowski, Wincenty Rapacki (syn), Józef Redo, Stanisław Stanisławski, Ewa Stojowska, Stanisława Wysocka.

JULJAN TUWIM

Modlitwa

Chmury nad nami rozpal w lunę,
Uderz nam w serca złotym dzwonem,
Otwórz nam Polskę, jak piorunem
Otwierasz niebo zachmurzone.
Daj nam uprzątnąć dom ojczysty,
Tak z naszych zgłiszcz i ruin świętych
Jak z grzechów naszych, win przeklętych.
Niech będzie biedny, ale czysty,
Nasz dom z cementarza podźwignięty.
Ziemi, gdy z martwych się obudzi
I brzask wolności ją ozłoci,
Daj rządy mądrych, dobrych ludzi,
Mocnych w mądrości i dobroci.
A kiedy lud na nogi stanie,
Niechaj podniesie pięść żyłastą.
Daj pracującym we władanie
Plon pracy ich we wsi i miastach,
Bankierstwo rozpuść — i spraw, Panie,
By pieniądź w pieniądź nie porastał.
Pysznych pokora niech uzbroi,
Pokornym gniewnej dumy przydaj.
Poucz nas, że pod słońcem twojem
„Niemasz Greczyna, ani Żyda“.
Puszającym się, nadymającym,
Strąć z głowy ich koronę głupią,
A warczącemu wielkorządcy
Na biurku postaw czaszkę trupią.
Piorunem ruń, gdy w imię sławy
Pyszalek chwyci broń do ręki,
Nie dopuść, żeby miecz nieprawy
Miał za rękojeść krzyż Twej męki:
Niech się wypełni dobra wola
Szlachetnych serc, co w klęsce rosły,
Przywróć nam chleb z polskiego pola,
Przywróć nam trumny z polskiej sosny.
Lecz nadewszystko — słowom naszym,

Zmienionym chytrze przez krętaczy,
Jedność przywróć i prawdziwość:
Niech prawo zawsze prawo znaczy,
A sprawiedliwość — sprawiedliwość.
Niech więcej Twego brzmi imienia
W uczynkach ludzkich, niż w ich pieśni.
Głupcom odejmij dar marzenia,
A sny szlachetnych ucieleśnij.
Spraw, byśmy błogosławić mogli
Pożar, co zniszczył nasz dobytek,
Jeśli oczyszczającym ogniem
Będzie dla naszych dusz nadgnitych.
Kaźda niech Polska będzie wielka:
Synom jej ducha, czy jej ciała,
Daj wielkość serc, gdy będzie wielka
I wielkość serc, gdy będzie mała.
Wtłoczonym między dzicz niemiecką
I nowy naród Stu Narodów,
Na wschód granicę daj sąsiedzką,
A wieczną przepaść od zachodu.
Dłonie Twe, z których krew się toczy,
Razem z gwoździemi wyrwij z krzyża
I zakryj, zakryj niemi oczy,
Gdy się czas zemsty będzie zbliżał:
Pozwól nam złamać zakon pański,
Gdy brnąć będziemy do Warszawy
Przez Tatry martwych ciał germańskich,
Przez Bałtyk wrażej krwi szubrawej.
A gdy będziemy, Nekropolu,
Przybliżać się do Twych przedmieści,
Kłękniemy kwarantanną w polu
Nadziei pełni i boleści:
Nadziei, — że nam przyjaciele
Naprzeciw wyjdą z miasta krzyżów,
Niosący w oczach przebaczenie,
I lzy radości, a nie wyrzut...
Boleści — że nam nie pomogą
Te lzy, ni łaska, ni witanie:
Milczące między nami stanie
Zjawą złowrogą...

JERZY PUTRAMENT

Toast

Zachód okryły chmury,
znów się śnieżyca zrywa.
Step ramiona rozpostarł
wiatrom przybłędom.

Przyjacielu, przybywaj,
sprawa jest pilna i prosta.
Głowa do góry,
nunc est bibendum.

Z ognia, granitu, wody,
ze złotonośnego piachu,
naprzekór bogom i djabłom,
lepiliśmy ciebie, wojsko.

I oto idą na zachód
wagonów korowody
z bronią jak burza nagłą,
z sercem i pieśnią polską.

Niechaj ostrożny się wzdryga,
niech gnuśny w mroku się chowa,
niech szaleje sprzedajny,
niech wróg z oburzenia kipi.

Naprzekór upiorom i strzygom
ruszyła armja nowa.
Dłonie strudzone podajmy,
jakże nam dziś nie wypić!

Dość uroczyście się nudzić,
precz urzędowa pompa.
Patrz, jak sędziwy grudzień
szronem na skronie nam stąpa.

Cośmy widzieli z młodości?
Jak się nam zaczął wiek męski?
Wroga zajadły pościg,
walka, niepokój, klęski.

Ale te dni się skończyły,
my, biedne historii giermki,
dziś poznajemy smak siły
upajający i cierpki.

Kubek blaszany łapaj,
spirytus trąci benzyną,
milszy ten jest nam napój
niż najwonnejsze wino.

Wina nam jeszcze podadzą,
niejeden srebrny rostruchan,
a dziś, gdy bratamy się z władzą,
dobra jest i siwucha.

Plynnem weselem się dzielimy,
toast wychylimy.
Kraju nasz nieśmiertelny,
ludziom przychylny,

niech się nie ludzi morderca,
że snem nieprzepartym uśniesz.
Starczy nam siły i serca,
aby ci wrócić uśmiech.

Oto wracają najmłodsze
dzieci, ojczyzno, twoje —
lzy tobie otrzeć,
rany zagoić.

Styczeń 1944.



ADAM WAŻYK

Przyjście

Wysliśmy z lasów wilgotnych, jeszcze nie wiedząc dokąd, wiśnie dojrzały w sadach, helmy tarzały się w zbożu, opodal zdartych zasieków niemiecki ciągnął się okop, szedł odór trupi i tygrys spalony stał lufą do ziemi.

Kuchnie polowe dymily, żołnierze kąpali się w stawach, staruszki stały na progach chałup zdmuchniętych pociskiem, Rosjanki w błękitnych mundurkach chorągiewkami drogę pokazywały na Zachód, na Bug, na Bug! Na przeprawie

jedni nieśli do kraju kaemy, inni rusznice, inni wracali pancerni w ciężkich czołgach z Uralu, traktory BAC'u ciągnęły w gałęziach brzoź i sosen działa, które zza Bugu zwiastowały nas ogniem.

Przedem pancerni zwiadowcze wysiorowały się w lasy eśpiwywane wilgami, skażone końską padliną, lasy wchłaniały nas na noc, a potem znowu rodziły, spaliśmy snem sprawiedliwych na ziemi swojej nieznan.

Wioski stały przy drodze całe w krzyczących makach, szli fizylerzy i kwiaty nieśli w lu'ach jak ogień, z konwią mleka nas czekał stary chłop, który plakał, 55 kilometrów zrobił nasz pulk tej doby.

Bukiety okrzyków, lecz więcej, wierzcie mi, było milczenia wśród dzieci na plotach, żołnierzy i zaskoczonych kobiet, był ktoś kto patrzył nam w oczy i ktoś kto natrząsał wiśni — nam cośmy przyszli nad ziemię i niebo ojczyste dziwniejsi.

ZOFJA BYSTRZYCKA

* * *

Drepa legła jak ręka rzucona w okrzyku
W maczycy czarnoziem.
Co koł jej piaski
Martwą bielą stygnących w przytępnym dotyku.
Czas ciągnąc rydwan śmierci
Potknął się,
I zastygł.

Bili matkę z wymyślnych wymysłów,
Aby bić.
Rozdarli łachman traw. Tętni krew z czarnych ran.
Krzepną ceglane kropki.
A rany muszą gnici,
Sączyć się,
I zastygają
W tynk rozwalonych ścian.

Ścieżka zarosła chwastem ziemi w upodleniu,
Pokrzywy palą jasność przeszłych georginij
Krzak bzu
I zwłoki okna
Rozdarte w milczeniu.
Powiedźcie mi, jak strasznie trzeba za to winić?!

STANISŁAW BALIŃSKI

Ojczyzna Szopena*)

Cóż to była za dziwna, romantyczna Pani,
Wszyscy się w niej kochali, umierali dla niej.
Wszyscy cierpieli za nią najdotkliwsze krzywdy,
Nawet ci, co jej oczu nie widzieli nigdy.

Z jej imieniem na ustach w Hiszpanji konali,
Marząc na złotych skalach o Mazowiec polach;
Dla niej się w czarnych płaszczach podróżnych zjeżdżali
Do fosforycznych portów Konstantynopola.

Za nią tęsknili długo po nocach i rankach
Na dalekim Zachodzie w Ameryki prerjach,
I pieśni o niej snuli i o jej kochankach
Zatraconych, zawianych śniegiem na Syberjach.

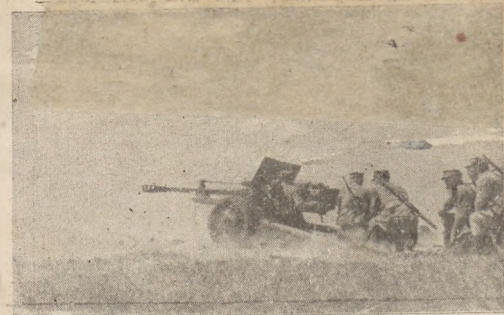
Mówią im obcy ludzie: — poco cierpieć dla niej
Tłumaczą: — że nie warto, że jak gwiazda pierzcha,
Ale oni nie słyszą, na śmierć zakochani,
I dalej za nią gonią po łąkach, po zmierzchach.

I dalej znoszą dla niej, pod niebem nieszczęścia,
Śmiertelny chłód wygnania na mongolskich mrozach,
I w nowe idą piekło, zaciskając pięści,
Na dno upodlen ludzkich w niemieckich obozach.

I dalej o nią walczą na Norwegji śniegach,
I na piaskach Egiptu w rozpalonym wietrze,
Umierają samotnie w galijskich szeregach,
I w Anglji, wiecznie wolnej, wznoszą się w powietrze.

Wszystko dla niej poświęcą i zniosą w milczeniu
Naprzekór wielkim próbom, które los przynosi,
A ona, ranna w serce, bezbronna w cierpieniu,
Niczego od nich nie chce i o nic nie prosi.

Tylko czasami nocą, gdy rozpacz opada,
I gdy Szopen, jak widmo, gra im na pianinie,
Zjawia się, cała w czerni, staje przy nim błada
I śpiewa do nich cicho — że jest, że nie zginie.



W szpitalu

Ostatnia zachowana korespondencja z frontu Lucjana Szenwalda, poety i żołnierza, który zginął tragicznie w katastrofie samochodowej:

Podjeżdżamy do pawilonu, gdzie leżą nasi ranni. Chcemy zobaczyć pancerniaków-bohaterów, którzy okryli się sławą w walkach o utrzymanie i rozszerzenie przyczółka na lewym brzegu Wisły.

Oto oni — w białym namiocie szpitalnym, na czysto zastawianych przenośnych przyrządach. Ci, którzy mogą chodzić, obstarpi nas. Inni unoszą głowy z poduszek, dźwigają się na łokciach.

— Jak się zakończył bój, bo ja zostałem ranny na samym początku?

— Co słychać w pułku? Czy zdążymy na następną bitwę?

— Kiedy będziemy w Warszawie?

Odpowiadamy, wyjaśniamy, wypytujemy o zdrowie, warunki. Chłopcy chwają sobie szpital, tylko że nie mogą się doczekać wygojenia ran, chcieliby prędzej wrócić do szeregów. Szczególnie cięższy ich stosunek ludności miejscowej. Bowiem w miejscowości L. powstał z inicjatywy ks. proboszcza Przesmyckiego komitet opieki nad rannymi żołnierzami Wojska Polskiego i bratniej Armji Czerwonej. W skład komitetu weszło 40 pań, dobrych patriotek, znanych i poważanych w okolicy. Członkowie komitetu kolejno dyżurują w szpitalach i lazaretach, przeprowadzają wśród ludności zbiórki w pieniądzu i naturaljach, pieką ciastka dla rannych, dostarczają książek i papierosów, pomagają w pisaniu listów. Do pracy komitetu włączyła się okoliczna młodzież. Do pawilonu, gdzie leżą pancerniacy, codziennie przyjeżdża sześć dziewcząt, które szyją, piorą, sprzątają, robią tampony, pozatem dwie pomagają przy opatrunkach w charakterze pielęgniarek. Ks. prob. Przesmycki i ks. wikary Kania odwiedzają rannych. Dnia 15 sierpnia, w dniu Święta Wojska Polskiego, w pawilonie odprawiono uroczyste nabożeństwo.

Żołnierz naszej armji wiele doświadczył. Życie nauczyło go szerokiego poglądu na sprawę. Toteż raduje go nie tyle otrzymane ciastko, czy paczka papierosów, ile ta coraz serdeczniejsza jedność wojska i narodu, wdzięczność społeczeństwa za krew przelaną w walce o Polskę, miłość dla żołnierza.

Zapoznajemy się bliżej z rannymi pancerniakami.

Kpr. Rzeszutek ma lat 18 i jest strzelcem radiostą. Specjalność swoją zna dobrze, ale zawsze go koroilo dotknąć drążków i starteru. Obserwując pracę szofera-mechanika, nabrał pojęcia o tem, jak się prowadzi czołg. Bardzo mu się to przydało.

Czołg został trafiony przez pocisk przeciwpancerny z „Ferdynanda“, Rzeszutek poczuł wstrząs, poczuł, że krew mu zalewa oczy. Nie widział. Chusteczką otarł krew z czoła, przetrął oczy. Przed nim siedzi mechanik st. sierż. Bagiński — siedzi ze zwieszoną głową i właściwie nie jest to już człowiek, ale zaledwie trzymające się razem kawałki człowieka. Oderwane nogi spoczywają na pedałach, więc czołg idzie naprzód, kierowany przez martwego szofera. Rzeszutek uprzytomnił sobie sytuację, ściąga z pedałów nogi Bagińskiego, wyłącza bieg. Otwierają luk, dowódca wieży wyciąga z czołgu mdlejącego Rzeszutek, bandażuje mu głowę.

Czołg plut. Goldfarb wystrzelił wszystkie pociski, wypalił całą benzynę, i stał czekając na podwóz paliwa i amunicji. Nagle z ciemności zaczęły wypelzać Niemcy. Ilu ich było, trudno powiedzieć, ale nadchodzili wciąż nowi. Pierścien piechoty niemieckiej zwierzał się dokoła czołgu.

Plut. Goldfarb wyskoczył przez luk z plecakiem, w którym miał 15 granatów odpornych. W ciągu kwadransa prowadził nierówną walkę z oddziałem niemieckiej piechoty i nie dopuścił jej do czołgu. Gdy nadeszły posiłki i Goldfarb zabrano na punkt opatrunkowy, lekarz wyciągnął z jego ciała 30 odłamków pocisku mózdzierzowego.

O wstrząsającym fakcie opowiadają pancerniacy.

Czołg, uszkodzony przez działko niemieckie, otoczony przez niemieckich fizylerów, prowadził ogień z broni maszynowej. Nagle 4 żołnierzy niemieckich oderwało się od swej grupy i chowając się za załom pancernego kadłuba otworzyło ogień do napastników. „Jesteśmy Ślązaki!“ — krzyknęli załozde po polsku. Później walczyli w składzie naszego oddziału fizylerów desantowców i zginęli po bohatersku.

Wszyscy oni — Rzeszutek, Goldfarb, dziesiątki innych — poznali ostry smak boju i nie mogą wysiedzieć na miejscu. Do pułku, do walki — o tem tylko myślą i marzą. Dumni są ze swej pancernernej jednostki i jednostka dumna jest z nich.

Lucjan Szenwald

czynano brakować tchu jego przyciśniętym pierśmiom. Był prawie bezpieczny pod tym murem. I wtedy sądzone mu było przejść największą katuszę.

Pojął, że ocalał przed automatem. Już nie przypadkowe chybiecie — już pewność. Kula z automatu nie przebijie tych kuku ciał, leżących na nim. Umarli go bronią.

Wówczas, spuszczone ze smyczy zwierzęcego lęku, zaczęła pracować myśl. Co dalej? Czemuż nie oszalał? Dlaczego spazmy strachu nie potłamały mu na dobre mechanizmu mózgowego?

Dalej..., dalej... Zrozumiał, co dalej. Niemożliwa do opisanie w swem okrucieństwie śmierć żywcem zakopanego.

Ujrzał nagle tę swoją przyszłość. Pojął, że to, czego się bał najwięcej, jest teraz dla niego jedynym ratunkiem. Automat, kula.

Dźwignął się na rękę. Opadł z powrotem przyciśnięty ciężarem zwłok, dzielących go od ratunku. Zakrzyczał: tu jestem, strzelajcie! — i zrozumiał, że to absurd. Zaczął się wygrzebywać, walczył wśród śliskich od błota i krwi ciał. Już bezwiednie, ale stępała jeszcze, pozwalaly się usuwać z drogi. Po kilku minutach wysadził głowę na wierzch i znowu krzyknął.

Esesowiec stał właśnie nad dołem. Już spokojny: napad buchaltera, który mu wzburzył nerwy, zatarił się w powszedniej robocie rozstrzeliwania. Na krzyk Bukackiego odwrócił głowę, spojrzał na niego i obojętnie się odwrócił.

Nowa grupa, nowa serja. Esesowiec zmienił magazynek, usłuźnie podany przez któregoś z konwojentów. Znowu spojrzał na Bukackiego. Ujrzał, że tamten żyje i ze zdziwieniem, nie pozbawionem sympatii, uniósł brwi.

Tak się zaczęła ta zabawa. Padaly coraz to nowe trupy, rozlegały się nowe serje, esesowiec zmieniał magazynki — a Bukacki żył. Tamten umyślnie go oszczędzał. Podeszło jeszcze paru Niemców. Rychno polapali się, o co chodzi i nie szcędzili esesowcowi przypodobałych się uśmiechów i powiedzonek.

A Bukacki szalał. Co parę minut wylazł spod nowej warstwy trupów i konających, nie tknięt bardziej żywy niż dotąd. Niebawem zrozumiał, że tamten się bawi. Prosił go, błagał. Krzyczał. Przeklinał. Modlił się. Teraz, nareszcie zbawcze szaleństwo zaczęło czarną chmurą zaciągać mu świadomość. Płatały mu się słowa. Krzyczał: „daj mi kulę!“ Modlił się: „Święty Józefie. Zeslij mi śmierć!“

A potem zaczął wołać już niezmiernym, nieludzkim głosem:

— Święta kulo! Święta kulo!

Esesowiec oszczędzał go długo. Potem, zniecierpliwiony zbyt prostackimi wyrazami podziwu dla jego pomysłowości i dowcipu ze strony tłumnie zebranych konwojentów, niechętnie się zachnął i na złość im wpakował tuzin kul w rozwarłe od krzyku o śmierć usta Bukackiego. Ale, chociaż nie powodowały nim w tej chwili żadne względy humanitarne, obiektywnie była to niewątpliwie łaska. I jako łaska zostanie mu policzona.

Jerzy Putrament

LEON PASTERNAK

Kazań

Daleki Kazań. Jasna noc.
I mroźny księżyc z wysokości.
Ulica kończy się. Nawprost
pokryty śniegiem Plac Wolności.

Jakże znajomy widok stąd!
Tak jakbyś deptał bruk warszawski!
Ten sam kamienic ciemny rząd
kiedyś z Wierzbowej na Plac Saski

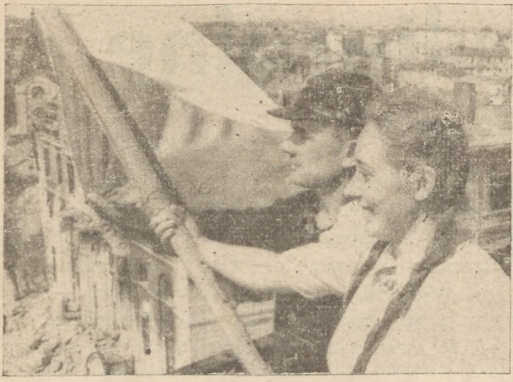
wychodził nocą. Chrząścił śnieg.
Po prawej okien tafla szklista.
Arkady sztabu. Tam gdzie legł
w marmurach żołnierz bez nazwiska.

Śpiżowy jeździec wznosi dłoń
i rzymskim mieczem błyska w górze,
kopytem w cokół bije koń
— spoglądam: Kazań? Księżę Józef?

Królewska. Głuche wnęki bram.
Wciąż mara ściga mnie zakłęta.
Warszawo, krwią brocząca z ran,
jak trudno ciebie nie pamiętać!

Do domu idę. Bierze mróz.
Ja inną drogę wciąż powtarzam.
I gdzie mój dom? Ach, kiedy znów?
A kroki skrzypią: Kazań, Kazań.

Zapolska na scenie lubelskiej



Sztandary polskie nad Lublinem



Czołg polski



W marszu

Wiadomość, że pierwszy teatr polski, przez wywołanych artystów zorganizowany, wystawi komedię Zapolskiej, — mogła wywołać — i wywołała — uczucie zbliżone do niepokoju. Pięciolecie męczeństwa, rozłam psychiczny i polityczny w narodzie, wciąż aktualny lęk o losy Warszawy, atmosfera przeżytego entuzjazmu — sprawiają, że w tej „chwili osobliwej” potrzebujemy sztuki silnego ducha i donośnego głosu; a póki współcześni artyści nasi nie stworzą obrazu losu naszego, zwracamy się do tych, co kiedyś byli sumieniem narodu. W okresie dobrobytu była nasza wielka literatura li tylko pozycją historyczną, w chwili nieszczęścia i zapалу narodowego staje się znów żywa, i okaże się, że „Dziady”, „Kordjan”, „Lilla Weneda”, „Nieboska”, „Wesele”, „Róża” znów ze sceny będą budzić w nas poczucie odpowiedzialności, a przed światem wołać o sprawiedliwość dla narodu. Jeśli trudno było podjąć nowo zorganizowanemu teatrowi inscenizację tych wielkich dramatów romantycznych, niechby choć „Ksiądz Marek” czy „Warszawianka” przemówiły swą poezją — czyżby miała się powtórzyć smutna anegdota o marnej roli społecznej teatru polskiego, który w powstanie kościuszkowskie grał melodramat francuski, w listopadowe jakąś „Syręnę w Dniestrze”, a scenę Polski niepodległej po traktacie wersalskim otworzył „Weselem Fonsia”?

Nie mielibyśmy jednak słuszności, poprzestawszy na tej ocenie. Warunki, w jakich powstał teatr polski w Lublinie, są bowiem zgoła odmienne, niż położenie teatrów warszawskich w epoce insurekcji, czy pierwszej wojny światowej. Artysty, których wysiłek oglądaliśmy, zebrał się w ciągu pięciu dni, w zrujnowanym przez wojnę mieście, które nie miało już od lat stałego teatru, aktorów, dekoratorów, nawet — publiczności. Ich pierwszym celem było — dać rozebrzmieć polskiej mowie ze sceny, czem prędzej! W tej sytuacji wynik musimy uznać za nadszpejdowanie dobrej. Ujrzelśmy bowiem przedstawienie tęgie, trzymające się kupy, które przypominało nam tradycję polskiej komedji realistycznej, a wspomnienie owego dobrego, krwistego teatru po pięciu latach kulturalnej nicości dało nam wzruszenie, za które wdzięczni jesteśmy artystom.

Zresztą nie możemy odmówić i roli społecznej tej świetnej komedji. Naturalizm polski nie miał nigdy bezosobowości, bezideowości, obojętności moralnej Henryka Becque lub Aleksandra Ostrowskiego, którzy chcieli dać w swoich dramatach tylko obraz życia codziennego, posępny ale pozbawiony jakiegokolwiek tezy. Czytaliśmy w „Rzeczypospolitej” zabawną recenzję, której autor próbuje przenieść rodzinę Dulskich do ponurych czasów okupacji; Dulska klnie N. emców, ale córki skierowuje jako kelnerki do prosperującej kawiarni, udzielając im rady, by były uprzejme dla wpływowych wrogów; Zbyszko handluje złotem i nosi workowatą modną marynarkę za kolana. Jest to, oczywiście, powierzchowny żart; ale może niedługo teatr, rozwijając ten dowcip, pokaże nam współczesną dulszczyznę, nie mniej paskudną, ale mniej komiczną, bo jej dwie cechy główne: przyziemność myśli i hipokryzja życia codziennego tem bardziej przykro wyglądają na tle patetycznej epoki naszej; tem bardziej niszczące mają skutki dla narodu walczącego, niż mogły mieć dla zaspianego, kwietystycznego społeczeństwa czasów owych

Cóż wypada napisać o inscenizacji i grze aktorów w tej recenzji, pierwszej po pięciu nieszczęśliwych latach? Czy można chwalić ich, ganić, dyskutować z nimi, gdy przedwzrostkiem chciałyby się dać wyraz odświętnej radości, że znów istnieje scena polska? Niech i tak będzie: skoro teatr ruszył uczciwie i normalnie, niech i krytyka podejmie ton zawodowy.

Widzieliśmy inne inscenizacje „Moralności”, które świadomie deformowały tę komedię. Przytulność mieszczańskiego domu została zniekształcona do wymiaru groteski: portjery i bibeloty stały się kolosalne w swej ohydzie; jaskrawa charakterystyka i marjonetkowe gesty aktorów, komiczne wystylizowanie kostiumów z epoki — nadały przedstawieniu ton karykaturalnego szyderstwa. Na tem tle werwa, pasja, kpina Zapolskiej stały się szczególnie dobitne, dramat Hanki i wrażliwość Meli — szczególnie rodziernające.

Inszenizacja lubelska poszła po linii ścisłego realizmu, nowego punktu widzenia nie poszukując. W takim wypadku zadaniem krytyka jest stwierdzić, czy postacie nie kłócą się z tekstem autora; czy ich sylwetki odpowiadają wyobrażeniu, jakie miał o nich pisarz. Jeśli kreacje są przekonywujące, jeśli budzą wiarę, że są żyjące, możemy uznać inscenizację realistyczną za udaną, psychologię osób za skonstruowaną trafnie.

Otóż stwierdzamy, że teatr lubelski dał nam obraz grupy ludzkiej prawdziwy i sugestywny. DIALOG „Dulskiej”, konkretny i plastyczny, nie został zatarty; ton, jaki osiągnęli wykonawcy, odpowiada tekstowi komedji.

Analiza poszczególnych ról kryje w sobie niebezpieczeństwa w sztuce realistycznej: istnieje możliwość różnego pojmowania tych samych postaci, rozmaite koncepcje, mieszczące się jednak w

tekście pisarza; rola ujęta tak lub inaczej, nie przestaje być jednak prawdziwa. Złe jest gdy przestaje, ale w naszym wypadku tak nie jest.

Wydaje nam się, że najbliżsi prawdy są trzej wykonawcy: Dulska, Hesia i Zbyszko. Mimo, że nie tak wyobrażamy sobie fizyczny wygląd i gest Dulskiej (powinna to być matrona tęga i nie nerwowa), ale jej ton zawzięty, suchy, czasem „moralizujący” i pociesznie bolesciwy od pierwszego słowa narzucił nam sugestię postaci. Irena Łado-siówna dała nie karykaturę, jak często widzieliśmy, ale żywego człowieka, nawet cierpiącego choć nie budzącego litości.

Również Hesia (Helena Bielenin) zagrana jest bez fałszywego dźwięku. Postać Zbyszka składa się ze sprzecznych elementów. Złoty młodzieniec, birbant, uwodziciel służącej, a równocześnie szyderca z własnego losu i z otoczenia. Dlaczego Zbyszko nie może wyłamać się z kołtuństwa matki? Zapolska nie uzasadnia tego swoistego hamletyzmu. Postać ta, mimo wszelkich sprzeczności żywa, budzi w interpretacji Mieczysława Wielicza sympatję.

Postać Meli dlatego wydaje się trudna, bo naiwność, posunięta tak daleko jak chciała Zapolska, nie budzi wiary i podkopuje zaufanie albo do szczerości tej postaci, albo jej rozsądku. Może nie jest możliwe zagrać tę rolę bez popadnięcia w ton deklamacyjny; Marja Zielińska wydobyla zresztą cały liryzm Meli, który w scenie ze Zbyszkiem przy kominku stanowił poetyczne wytchnienie w atmosferze dulszczyzny.

Halina Buyno postawiła swoją Hanę dobrze po aktorsku, nadawszy jej silny wyraz dramatyczny, który jednak na tle literackiej wartości komedji jako całości, wniósł ton melodramatu, przywodzący na myśl konwencjonalne ujęcie uwiedzionej „z ludu” w operze Moniuszki.

Ujęcie postaci Dulskiego (Edward Kowalczyk) odbiegało od realistycznego stylu przedstawienia, poszło po linii wesołej groteski. Marja Górecka podkreśliła melancholijną tajemniczość Lokatorki, co dobrze kontrastowało z ordynarnością Dulskiej w jednej z najświetniejszych napisanych scen komedji. Marja Nóchowicz, zamiast podkreślać chłopską chytrą Tadrachowej, dała postać charakterystyczną i rubaszną, co może pasowało do żywego, realistycznego ujęcia komedji. Juljasiewiczowa (Irena Starkówna) grała jakby połową duszy; zapewne nie leży w charakterze jej wytwornego talentu ukazać plotkarskie wścibstwo tej mieszczki, duszę przekupki pod pozorami taniego wykwiutu.

Reżyserji mogliśmy wytknąć niejedną szablono-sytuacyjną, czy powierzchowną psychologiczną w traktowaniu postaci, ale czemże byłyby te zarzuty wobec faktu, że w ciągu pięciu dni udało się zbudować spektakl zadawalający w zupełności nasze poczucie artystyczne. Dekoracja nie przeszkadzała aktorom, pasowała do inscenizacji.

Żywym uczuciem wdzięczności do artystów, że tak szybko dali nam słowo polskie ze sceny, i to dość sugestywne.

Wierzmy jednak, że również błyskawicowe słowo wieszczym przemówi przez ich usta, a w inscenizacji (mimo całego waloru realizmu, przez nas uznawanego) będą wyzyskane poetyczne, monumentalne doświadczenia teatru polskiego ostatnich doby, których genialny twórca, Leon Schiller, przebywa w stolicy, co nas drżeniem napawa o jego życie.

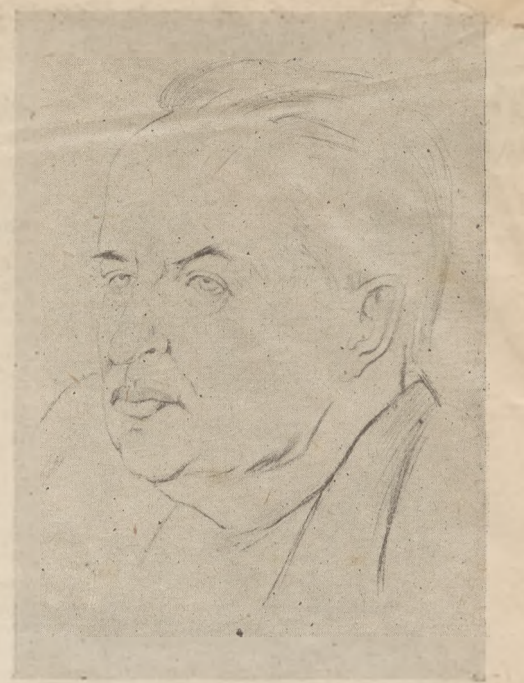
Zygmunt Kałużyński

Pierwsze spojrzenie

Do natarcia idzie się z automatem, ale idzie się również ze sprężynówką filmową, która chwytą na taśmę wszystko co minie za chwilę, a żyć powinno — nie tylko w gorącym wspomnieniu współczesników, ale w sercach całej armji, całego walczącego narodu.

Operator filmowy, odziany w zielone dreluchy, jest wszędzie, gdzie żołnierz przeżywa swój dzień powszedni i swoje żołnierskie święto. Nad Oką zdejmować będzie miasto pierwszych ziemianek, od których zaczęła się pierwsza nasza dywizja, a pod Lenino pierwszy wyskoczy z okopów, żeby stłumować podnoszących się do ataku żołnierzy. Będzie tam, gdzie przemówi pierwsze polskie działo przeciwlotnicze i gdzie zadymy pierwsza kuchnia polowa. Na stacji kolejowej powita wychodzących z wagonów poborowych, będzie z nimi dzielił trudy obozowe, upamiętni uroczystość przysięgi i wraz z nowosformowanymi oddziałami uda się na linię frontu.

I z tych swoich wędrówek po formacjach, po polach bitwy i pralniach pułkowych, po komisjach poborowych i obozach ćwiczebnych, wyniesie operator łup beczenny, pięć czy sześć tysięcy metrów naświetlonej taśmy, zamkniętą w metalowych pudełkach poezję i prozę życia armji. Sześć tysięcy metrów, właściwie — niewiele. A jednak — spójrzcie na mapę, tych sześć tysięcy metrów to szmat drogi, znał rosyjskiej rzeki Oki, gdzie uchodźca zrzucał z siebie łachman tułacza i przedzierzgał się w żołnierza, aż po samą Wisłę, gdzie żołnierz



LEON CHWISTEK

profesor logistyki, historii i filozofji sztuki, krytyk literacki i malarz, zmarł dnia 20 sierpnia 1944 r. w Moskwie.

rys. Al. Rafałowski



LUCJAN SZENWALD

poeta, kapitan Wojska Polskiego, kawaler Krzyża Walecznych i Orderu Czerwonej Gwiazdy, zginął śmiercią tragiczną dnia 22 sierpnia 1944 roku.

polscy, jak równy z równym, mierzy się z nieprzyjacielem w śmiertelnym boju o Warszawę.

Sześć tysięcy metrów, trzy godziny życia filmu. Ale tych trzy godziny to półtora roku trudów, to krew i ogień pierwszych bojów i lzy radości pierwszych powrotów, pierwsze pożegnania i ostatni uśmiech umierającego. Bo operator Czołówki Filmowej będzie tym, któremu przypadnie w udziale uwiecznić pierwsze żniwo śmierci na zaciętej pobojowisku, ale to on również z czołówką wojskową zjawia się w pierwszym mieście polskiem i usłyszy krzyk nabrzmiałej udręką i radością: — O Boże, to polscy żołnierze...

I jeszcze potem wjedzie do Lublina, by tam w czasie pierwszych powitań, objąć serdecznych i łez niepowtarzalnych, bo płynących z najpierwszego odruchu, nakreślić obraz wywołanego miasta, dymiącego pogorzelska, ślady nieskończonych jeszcze utarczek, trupy patriotów wymordowanych na Zamku, ból i gniew narodu, który zaczął dopiero swoje porachunki z ciemnością. A potem, ledwie ochłoniwszy z pierwszego wzruszenia, zacznie operator wypatrywać, jak wolność, którą przyniosło miasto wojsko na swoich sztandarach i na swoich bagnietach, jak ta wolność staje się krwią i ciałem życia narodowego. Jak zmartwychpowstaje polska organizacja państwowa, jak działać zaczyna polskie urzędy, jak polski żołnierz zajmuje opróżniony przez szuchmaną posterunek na skrzyżowaniu ulic, jak ukazuje się pierwszy numer legalnej gazety, jak dźwigają się z gruzów warszaty pracy i jak stopniowo gorączka odbudowy ogarnia wszystkie dziedziny życia. Wszystko to notuje na taśmie pierwsze spojrzenie operatora Czołówki Filmowej.

Kiedyś te strzępy celuloidu nabiorą bezcennej wartości historycznego dokumentu. Dziś stają się jeszcze jednym motorem w ogromnej pracy, jaka czeka nas w wyzwolającym się państwie. Wyróżnie z nich już niedługo stała kronika filmowa, biuletyn z frontu walki i odbudowy. Wyróżnie z nich ku wiecznej hańbie Niemiec film o Majdanku, surowa relacja z miejsca kaźni tysięcy najlepszych synów narodu. Wyróżnie z nich nowa polska kinematografia dokumentalna, potężna broń w walce o Polskę Wielką, Niepodległą, Demokratyczną.

Jerzy Bossak

Wszystkich zdjęć fotograficznych, zamieszczonych w pierwszym numerze „Odrodzenia”, dokonała Czołówka Filmowa I-ej Armji Polskiej.

Zygmunt Kałużyński